

Çatalhöyük

Tygodnik TVP, piątek, 2 kwietnia 2021

Na ścianach ich domów są wyobrażenia, np. ludzi rozbiegających się na jakimś terenie, nad którymi latają sępy. Oni nie mają głów (!), ale są ubrani w cętkowane przepaski, które mogą nawiązywać do skóry lamparta – opowiada dr. hab. Tomasz Kozłowski, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, antropolog z Instytutu Archeologii, w latach 2002 – 2011 uczestnik wykopalisk w Anatolii, gdzie odkryto neolityczną metropolię Çatalhöyük (czyt. Czatalhujuk).

TYGODNIK TVP: Çatalhöyük to najstarsze znane nam dziś miasto z prawdziwego zdarzenia, a mało kto o nim słyszał.... Gdzie to właściwie jest?

TOMASZ KOZŁOWSKI: To miejsce faktycznie mniej znane turystom, niż turecka Riviera czy Kapadocja albo Istambuł. Stanowisko jest położone na płaskiej jak stół, olbrzymiej Równinie Konijskiej, znajdującej się na wysokości tysiąca metrów nad poziomem morza. Otoczone jest górami Taurus, które tu wyznaczają horyzont, a leży jakiś kilometr od wioski Küçükköy i około 40 kilometrów od miasta Konya w środkowej Turcji, w Anatolii. Czyli nie znajduje się na trasie tych wycieczek po Azji Mniejszej, które najczęściej podejmujemy, a szkoda. Dziś to jest spichlerz Turcji – tam nawet dwa razy do roku udaje się zbierać z żyznej ziemi plony, ale miejsce jest bardzo suche i musi być sztucznie nawadniane.

A kto i kiedy odkrył, iż w tym zapomnianym dzisiaj przez turystów miejscu mogła kiedyś, w neolicie, kwitnąć metropolia i należy wbić łopatę archeologa w ziemię?

Odkrywca nazywał się prof. James Mellaart i był Brytyjczykiem. Miał żonę Turczynkę, co niewątpliwie ułatwiało mu kontakty, gdy w latach 50. i 60. XX wieku przebywał w Turcji i był szczerze zainteresowany podejmowaniem w tym kraju wykopalisk. Niestety, działalność Mellaarta nie miała szczęśliwego zakończenia. Został z Turcji wydalony z oskarżeniem o próby zaboru zabytków. Jeszcze na początku XXI wieku przypomnienie tam, na miejscu, jego nazwiska uchodziło za bardzo duży nietakt. Ale zostawił w Turcji swoich biologicznych potomków.

Przepraszam, że wejdę w słowo, ale i inni zachodni odkrywcy tureckich paleo-starzożytności

miewali żony Turczynki. Odkrywca Göbekli tepe, prof. Klaus Schmidt również. Ale wróćmy do Jamesa Mellaarta na Równinie Konijskiej

edynym wzniesieniem, które tam się znajduje odkąd ludzka pamięć sięga, to jest właśnie owo Çatalhöyük. Mellaart postanowił podjąć badania sondażowe „wzgórza widelca”, jak można przetłumaczyć nazwę tego sztucznego, antropogenicznego w całości wzgórza o dwóch kulminacjach, a de facto dwóch wzgórz. Szybko przekształciły się one w rozległe badania, bowiem obszar, który Mellaart „przekopał”, to jest 13 hektarów! I tak kopiąc, natknął się na relikty owego wczesnoneolitycznego miasta, wydobył z ziemi wiele spektakularnych zabytków.

Na początku lat 90. XX wieku na tym stanowisku pojawił się prof. Ian Hodder z Uniwersytetu w Cambridge (obecnie z Uniwersytetu Stanforda w USA). Rozpoczął systematyczne prace wykopaliskowe z zupełnie innym podejściem metodologicznym niż odkrywca stanowiska. Znał doskonale mankamenty tych wczesnych badań – taka była wtedy archeologia. Prace prof. Hoddera charakteryzują wielka szczegółowość i dokładność.

Przy okazji pewnego wykładu prof. Hoddera doszło do spotkania z obecnymi profesorami Lechem Czerniakiem i Arkadiuszem Marciniakiem z Poznania. Zagadnęli wtedy Iana Hoddera, czy nie dałoby się w Çatalhöyük trochę pokopać. Tak powstał „Team Poznań” – polski zespół badawczy na tym stanowisku, który ma swój „własny” wykop na kulminacji wzgórza południowego. W 2002 roku prof. Marciniak zaprosił mnie do „Teamu Poznań” jako „naczelnego” antropologa.

Tego samego prof. Marciniaka, który na łamach Tygodnika TVP opowiadał o Göbekli Tepe. Ale zaraz: wczesnoneolityczne?! To jak stare dokładnie?

To jest ok. 7,5 tysiąca lat przed naszą erą, czyli ma grubo ponad 9 tys. lat. Niemal dwa razy tyle, co egipskie piramidy. I ważne teraz, gdy już te liczby są na stole, żebyśmy zrozumieli, że to nie była jakaś tam sobie osada, tylko... MIASTO.

Czyli mamy wiek taki, jak znane nam z Biblii Jerycho, gdzie kopią archeolodzy izraelscy, a

może i trochę więcej...

Tylko tu właśnie ponownie trzeba podkreślić rozmach i wielkość, bo przy Çatalhöyük Jerycho to wioseczka. Tu zatem nie tyle to datowanie jest najważniejsze, choć też, ale wielkość i liczba ludności anatolijskiej metropolii. Ludności, która tam mieszkała, pracowała, rodziła się i umierała.

A przez jaki okres miasto „żyło” zanim się ludzie – jeśli dobrze rozumiem – rozeszli? I ilu ludzi tam żyło maksymalnie w okresie największego rozkwitu?

To trwało przynajmniej 1200 do nawet może półtora tysiąca lat. Natomiast ta druga wartość jest znacznie trudniejsza do oszacowania, bo oczywiście tu nie wykonano jeszcze całości planowanych wykopalisk. Nawet trudno powiedzieć, ile to może potrwać – kilkanaście albo i kilkadziesiąt lat. Sądzę, że za naszego życia nikt nie zdecyduje się też na rozkopanie całości. I chyba bardzo słusznie. Ale szacuje się na podstawie tego, co odsłonięto dotychczas, że było to 6 do 8 tysięcy osób jednocześnie.

Czy ten teren, środowisko życia ludzi 9 tys. lat temu wyglądało tak , jak dziś?

No właśnie niekoniecznie. Wtedy nie było to miejsce suche, bo przez równinę płynęła meandrująca, rozlewająca się rzeka. Nie były to jeszcze mokradła, ale... Dopiero znacznie później to uległo stepowieniu.

Dla mojego mikrobiologicznego ucha to brzmi jak wyliczanka chorób: malaria, reumatyzm, amebioza etc. Z drugiej strony specjaliści od mokradeł twierdzą, że wcale nie dziwi, iż nasza cywilizacja, co tam wtedy właśnie budowała zręby, dosłownie „wyszła z bagna”. Bo to są tereny dostarczające łatwo dostępnej żywności: ptactwa wodnego i ryb.

W mojej opinii jednym z głównych czynników wyboru właśnie tego miejsca był dostęp do wody. Reszta jest ważna, ale to być może didaskalia. Wybór tego miejsca miał też i inne znaczenie. My dziś patrzymy na to ze współczesnego, do bólu racjonalnego, wyłącznie ekonomicznie podsytego punktu widzenia...

... a już Göbekli Tepe powinno nas nauczyć, że wczesnoneolityczny nasz przodek niekoniecznie tylko tak myślał.

Oczywiście. Dla nas liczy się ta efektywność rolnicza, a to była już społeczność żyjąca częściowo z rolnictwa. Ten teren wcale nie był wówczas taki łatwy do uprawy, właśnie ze względu na te rozlewiska. Okazuje się jednak, że mamy tam bogate złoża gipsu. Ten zaś był wykorzystywany przez mieszkańców Çatalhöyük nie tylko w celach budowlanych, do konstrukcji domostw – wydaje się, że to wszechobecne „tynkowanie” gipsem wewnętrznych ścian pomieszczeń miało głębokie znaczenie rytualne. I najprawdopodobniej ludzie zaczęli się tym kierować: bliskością niezbędnego im złoża materiału ze sfery „sacrum”.

Gips był pod ręką, natomiast po inny niezbędny minerał – szkło wulkaniczne, czyli obsydian, na którym również opierała się cała ta kultura – trzeba się już było wybrać w góry Taurus. A to jest ok. 50 km w jedną stronę. Z ciężarem takim na plecach czy w rękach wracali taką długą drogę, a mówimy o czasach, kiedy nikt jeszcze nie wynalazł koła.

Jesteśmy w czasach przed udomowieniem bydła, ale już mając w zagrodzie owce i kozy. To już jest jednak rozkwit cywilizacji rolniczej i wiążącej się z tym domestykacji człowieka. To już także neolit ceramiczny, a nie przedceramiczny, jak np. w Göbekli Tepe i innych miejscach. Aczkolwiek nie jest wykluczone, bo wykopaliska nadal są prowadzone, jakie są tam najstarsze warstwy osadnictwa ludzi i czy nie miały one miejsca właśnie w czasach jeszcze przed opanowaniem garncarstwa. Tam, na Równinie Konijskiej znajdują się znacznie mniejsze od Çatalhöyük tzw. telle (czyli stanowiska archeologiczne utworzone z nawarstwiających się szczątków osad ludzkich – przyp. red.), które są jeszcze przedceramiczne.

Mamy to już zatem umiejscowione w czasie i przestrzeni. To chyba dobry moment, by porozmawiać o samej strukturze miasta, o – nie bójmy się tego słowa – architekturze. Ja sobie ciągle zadaję pytanie: dlaczego ci ludzie tak dziwnie budowali? Mamy jeden gigantyczny miejski rój, zwielokrotniony tysiąckrotnie bliźniak, bez ulic, wchodzi się do swojego lokum po drabinie przez dziurę w dachu, który jest arterią komunikacyjną. Czyż

nie?

Tak, dobrze pani rozumie. Choć nie jest to pomysł całkowicie wyjątkowy, podobnie do Çatalhöyük wyglądają np. amerykańskie Puebla – choć te są nieporównywalnie młodsze. To są domostwa jak gdyby zlepione ścianami, bez wolnej przestrzeni komunikacyjnej pomiędzy.

To już są domy na planie prostokąta, co znaczy, że to jest ludność całkowicie osiadła. Koczownicy bowiem budują na planie owalnym, popatrzmy na jurte, tipi czy igloo, co wynika m.in. z różnych względów praktycznych i konstrukcyjnych. Chyba szczególnie ze sposobu konstrukcji dachu – to nie jest prosta sprawa.

Tam jest jeszcze jedna taka rzecz, którą znamy z Göbekli tepe, czyli miejsca oddalonego w czasie o ponad 2 tys. lat i w przestrzeni o 700 km lekko licząc, aczkolwiek wieloletni eksplorator Ian Hodder łączy ze sobą te dwie kultury. Otóż w obu tych miejscach, choć w sanktuarium konstrukcje są na planie owalnym, a w Çatalhöyük są na planie prostokąta, to w pewnym momencie ludzie biorą i je celowo zasypują... W Çatalhöyük to jest takie wręcz oczywiste, że ludzie zasypują poprzednio użytkowaną przestrzeń, a na pewnej jej wysokości, którą zachowują – tj. około nieco ponad metr – stawiają kolejną, dokładnie wymiar do wymiaru, i zaczynają mieszkać niejako pół piętra wyżej.

Oczywiście my jesteśmy w stanie tylko próbować analizować to, co się w głowach tych ludzi wtedy działo. Tutaj taki dom był używany mniej więcej 100 lat, po czym był częściowo zasypywany – częściowo niszczone. Sugeruje się, że był to też swoisty rytuał, którym niekoniecznie kierowały względy praktyczne. Nadal starannie utrzymane domostwo było bowiem niwelowane. Dom nie był w całości zasypywany, tylko jakby burzony do wysokości metra, maksymalnie półtora metra i wtedy w środku wypełniany. Takie właśnie domostwa odnajdują dziś archeolodzy.

W ten sposób ludzie „wybudowali” wyższy wierzchołek owego „widelca” na Równinie Konijskiej. Stawiając przez ponad tysiąc lat kolejne warstwy domów na „podmurówce” z kolejnych częściowo zburzonych i zasypanych warstw. Główny materiał do budowy tych domów stanowiła cegła mułowa. Zresztą do dzisiaj spotykana w sąsiedniej wiosce, jako materiał na budynki gospodarskie, choć oczywiście wypierany przez np. nowocześniejsze

cegły ceramiczne i pustaki.

I komu potrzebna jakaś inna Wieża Babel?

(Śmiech) No tak, jakiś wierzchołek ta konstrukcja zapewne miała i on się znajduje dziś mniej więcej w środku tego tellu.

Na tych zasypanych i wyrównanych partiach budowano kolejny dom bardzo dokładnie odwzorowując poprzedni, jeśli chodzi o umiejscowienie ścian. Czyli na tym samym planie – a to już jest pewne zaskoczenie. Pokrywano to następnie dachem. W ten sposób osada dosłownie pięła się w górę. I to owo miasto – te wspinające się kolejne piętra domostw – utworzyły ów tell, który dziś widzimy na płaskim jak stół podłożu. Nie robiono tego oczywiście naraz ze wszystkimi domami, co powodowało pewne zróżnicowanie tego układu architektonicznego w pionie. Na szczycie innymi słowy nie było „lotniska”. Ale na tym dachu 8 tys. ludzi miało wielopoziomowe arterie, aby się przemieszczać.

Inną rzeczą były jeszcze pochówki, które się znajdowały pod podłogą tego domu. Tak, że część podłogi pomieszczenia dziennego, dziś powiedzielibyśmy „salonu” takiego domu, stanowiła platformę, pod którą spoczywali przodkowie prawdopodobnie tych ludzi, którzy tam mieszkali.

Właśnie! Pochówki, czyli to, co antropolodzy fizyczni lubią najbardziej. Zresztą antropolodzy kultury też, bo nic tak wiele nie mówi o cywilizacji, jak obyczaje pogrzebowe. A kości nie kłamią. Czego się możemy dowiedzieć o tych ludziach fizycznie, genetycznie i kulturowo na podstawie ich kości?

Ja bym się nie zgodził, by budować kompletny obraz danej, żywej cywilizacji na grobach, ale to stanowi bardzo istotne uzupełnienie wiedzy o niej. Tam, w Çatalhöyük nie odkryto cmentarzy. To całe miasto jest też nekropolią. Nam się może to wydawać dziwne – wręcz przerażające, ale nie jest to zjawisko ani nowe, ani nie zanikło, gdy Çatalhöyük przestało funkcjonować. Bazylika św. Piotra też jest wybudowana na dawnym cmentarzu, w tym prawdopodobnie na grobie tegoż Apostoła. A i na polskich ziemiach, jeszcze w

średniowieczu, można spotkać się z tzw. ofiarami zakładzinowymi, czyli pod fundamentami domu znajdujemy pochówek np. dziecka. Następuje zatem redukcja tego zjawiska do jego najbardziej podstawowej symboliki.

Z takim opisem i w Biblii się spotykamy: „Za jego czasów (Króla Achaba 873-853 p.n.e. – przyp. red.) Chiel z Betel odbudował Jerycho według zapowiedzi Pana, którą wyrzekł przez Jozuego, syna Nuna; założył jego fundamenty na swoim pierworodnym, Abiramie, a na swoim najmłodszym, Segibie, postawił jego bramy” (1 Krl 16, 34 wg Biblii Tysiąclecia).

Tutaj jednak w Çatalhöyük mieszka się po prostu ze wszystkimi zmarłymi pochowanymi pod podłogami domów, w wyodrębnionych miejscach. To platforma ma jakieś 2 do 4 metrów kwadratowych, wyniesiona jest na kilkanaście centymetrów ponad poziom klepiska i pokryta gipsem, a wokół niej znajdują się różne ciekawe artefakty. Gdy taką platformę archeolodzy zdejmą, to pod nią znajdują się jamy, w których są szkielety. W najbogatszych w pochówki domach w takiej jamie znajdowało się ponad 60 pochowanych osób. Najwięcej zaś jest szczątków dzieci, co jest pewną prawidłowością.

Tu jednak pojawiają się poważne problemy interpretacyjne. Bowiem faktycznie np. 60 zmarłych trudno jest „upchnąć” na takiej powierzchni w okresie, powiedzmy, tych 100 lat, gdy trwa domostwo. A rozkładające się zwłoki wydzielają fetor i stanowią zagrożenie epidemiologiczne. W dodatku ułożenie szkieletów jest na ogół w porządku anatomicznym – czyli kości nie są porzucane, tylko leżą w zgodzie z tym, jak ciało jest zbudowane, choć w pozycji podkurzonej, tzw. embrionalnej, najpewniej krępowane też sznurami. Dzieci składano też w koszach. Nie ma jednak dowodów, że zwłoki tam były np. mumifikowane. Mogły jednak być składane do jamy już po częściowym zeszkieletowaniu.

Na tych kościach nie ma śladów jakiegoś intensywnego żerowania padlinożerców, co jednak nie wyklucza ptactwa, bo takie ślady np. sępów trudno rozpoznać. A ciało zmarłego można ochronić przed wielkimi ssakami drapieżnymi, pozwalając na dostęp jedynie ptakom i małym ssakom. Tu istnieje koncepcja związana z wiązkami i tkankami łącznymi okołostawowymi, które istotnie wolniej ulegają rozkładowi. Gdyby ciałom zmarłych pozwalano osiągać stan

takiego właśnie szkieletu nadal ze sobą „powiązanego”, dodatkowo np. wysuszonego na słońcu, to można je wtedy układać w jamach grobowych i uzyskać to, co widzimy w Çatalhöyük.

To jednak nie koniec. Obserwujemy bowiem zjawisko późniejszej, po pierwotnym pochówku, dosłownie cyrkulacji czy wędrówki tych kości pomiędzy różnymi jamami grobowymi w różnych domach. Czyli znajdujemy pochówek, gdzie zmarły trzyma w rękach czaszkę innej osoby. Z drugiej strony są groby, gdzie właśnie czaszki brakuje, choć pozostałe części szkieletu są dobrze zachowane.

Ludziom naszej cywilizacji to się może wydawać trochę upiorne, ale w innych kulturach zdarzało się nawet zjadanie przodków. Tu jest dużo takiej emocji: „Chcę mieć częśćkę ciebie ze sobą” – i nie jest to emocja obca i nam, gdy stykamy się ze śmiercią najbliższych, kochanych przez nas ludzi.

Tak, tu przychodzą na myśl formy skrajne, np. tzw. endokanibalizm (spożywanie ciał zmarłych krewnych, osób z własnej społeczności – red.), aż po „delikatne”, jak kolekcje kosmyków włosów – sam posiadam loczek ścięty z mojej głowy w okolicach dnia narodzin (śmiech). Dalej są relikwiarze, czy pojemniki z sercem zmarłego, pochowanym na jego życzenie gdzie indziej niż reszta ciała (np. tak, jak Józef Piłsudski – serce ma w grobie swojej matki na Rossie w Wilnie). Albo i dzisiejsze propozycje zrobienie ze spopielonego ciała zmarłego diamentu i następnie brylantu do umieszczenia w biżuterii. To mogą być jakieś reminiscencje tego właśnie obyczaju, który widzimy w Çatalhöyük lub też uniwersalnego pragnienia zachowania części tych, którzy odeszli. To nie zmienia rezerwy czy szacunku do ludzkich zwłok, właściwych naszej cywilizacji.

Tutaj zawadzamy jednak o badania DNA, ale je trudno przeprowadzić skutecznie w przypadku tych kości, więc w istocie nie ma dowodów, że te osoby (cały szkielet i trzymana w rękach czaszka) są ze sobą blisko spokrewnione [1]. Tam się zachowały jedynie fragmenty mitochondrialnego DNA. Możemy zatem przyglądać się nieco tej populacji w linii żeńskiej, mając świadomość, że taki DNA nie jest bardzo zróżnicowany i to niewielka cząsteczka do porównań. Badanie pokrewieństwa na tej podstawie jest bardzo mało rozdzielcze. Tu się

zatem poza sferę hipotez nie da wyjść – tą metodą da się jedynie pokrewieństwo w linii żeńskiej wykluczyć, ale nie potwierdzić. Wiek, a przede wszystkim warunki fizykochemiczne zalegania znaleziska nie tylko powodują, że DNA jest słabo zachowany, ale że ponadto brakuje DNA do porównań z innych lokalizacji, aby powiedzieć: to są ci sami ludzie, a tam są inni np. etnicznie ludzie. Takie porównania daje się łatwiej prowadzić dla okresów późniejszych – np. 7 tys. lat temu lub też miejsc, gdzie DNA nie jest tak silnie zdegradowany.

Natomiast dzięki samym badaniom antropologicznym i archeologicznym mamy pewność, że dzisiejsi mieszkańcy Anatolii nie mają nic wspólnego z tymi wczesnoneolitycznymi. Turcy seldżuccy zjawili się tam dopiero w średniowieczu. To nieco utrudnia – mówiąc eufemistycznie – pojawiającą się narrację o „tureckim neolicie”.

Aczkolwiek ta genetyczna „komponenta anatolijska”, znana wprawdzie z nieco późniejszego okresu, jest częścią naszego bagażu genetycznego, zwłaszcza chromosomu Y. To są nasi pierwsi rolnicy. A ten DNA jest „przechowany” w ponad 50 proc. w chromosomach Y mieszkańców Sardynii.

Dzisiejsze rozmieszczenie haplogrup Y czy mitochondrialnego DNA nie musi odpowiadać temu, co miało miejsce wcześniej. Z Çatalhöyük zaś nie mamy ani całych, ani nawet szczątkowych genomów do porównań. I raczej ich mieć nie będziemy. Tu obracamy się w sferze hipotez i spekulacji – także, jeśli chodzi o ewentualne biologiczne związki tego miejsca z Göbekli tepe, sugerowane przez Iana Hoddera w jego wykładach.

Kości zatem zachowało się sporo i jest co mierzyć i ważyć, natomiast DNA – w ilościach homeopatycznych. Czy możemy sobie więc jakoś wyobrazić wygląd mieszkańców Çatalhöyük? I co wiemy o ich zdrowiu?

Nie odróżnialiby się dziś od nas na ulicy, tylko nieco niżsi, bardziej krępi. Analizę zdrowia ograniczamy do tych chorób, które pozostawiają ślady w materiale kostnym. Daje się zanalizować tzw. morfologiczne markery stresu (niedożywienie i inne niedobory, np. witamin C i D, przebyte infekcje), czyli np. ślady stanów zapalnych okostnej, które najczęściej obserwujemy na trzonach kości piszczelowych. W ich częstości upatruję wskaźnika czystości

mikrobiologicznej środowiska życia. Bo to widać do dziś: postęp urbanizacji, ze swym natężeniem kontaktów między ludźmi i między ich drobnoustrojami, zwiększa ten fizjologiczny stres i jego skutki. Także w historii Çatalhöyük widać, jak stopniowy rozrost populacji i gęstości zaludnienia oraz wszystko, co jest z tym związane, prowadzi do coraz częstszego występowania takich zmian na kościach.

Nie ma tam śladów żadnej kanalizacji, zatem ludzie musieli mieć kontakt z odchodami. Wyobraźmy sobie, że każdego dnia 6-8 tys. osób musi załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne. Inaczej się przecież nie da. Mówi się, że Wersal strasznie cuchnął po dłuższych pobytach królewskiego dworu, który był istotnie mniej liczny. Wracając do Çatalhöyük, znajduje się tam nawet i analizuje koprolity, czyli skamieniałe ekskrementy. Tu osobną kwestią jest dieta, bo ją się daje ustalić w takich skamieniałych odchodach za pomocą analizy niestrawionych resztek pokarmowych, znajduje się tam też jaja pasożytów, co nam mówi, że to była społeczność zapasożycona. Co zresztą w odniesieniu do tamtych czasów nie dziwi.

Średnia długość życia była znacznie krótsza niż współcześnie – uwzględniając noworodki, nie przekraczała 30 lat. Bowiem umieralność noworodków i niemowląt była poważna, jak i w wiekach późniejszych, i to ich dotyczy gros pochówków. Osoby, które tam dożyły 50. roku życia stanowiły rzadkość. Była też oczywiście duża umieralność młodych kobiet w wyniku komplikacji w czasie ciąży, porodu i połogu. Ale taka sytuacja była w Europie nawet jeszcze w XIX wieku.

Natomiast przerosty śródkościa na sklepieniu oczodołów czy kościach ciemieniowych można wiązać m.in. z anemiami. Czyli ludzie byli w pewien sposób niedożywieni – cierpieli na różne niedobory. To jest cecha charakterystyczna wczesnego neolitu, ponieważ porównując rolników z wcześniejszymi łowcami-zbieraczami, to oni wyglądają na dość rachitycznych. To jest konsekwencja wzrostu liczebnej populacji, również uzależnienia od okresowej wegetacji roślin i nieurodzajów, co naraża większe grupy ludzi na czynniki związane z sezonowością gospodarki wytwórczej i anomaliami klimatycznymi redukującymi plony, czasem drastycznie.

Jeśli dobrze pamiętam, to właśnie polscy archeolodzy uczestniczący w badaniach

zasugerowali, że to katastrofa klimatyczna, związana z wybuchami wulkanów w odległej Kanadzie, doprowadziła do wielkiego nieurodżaju na Równinie Konijskiej, co ostatecznie „wygnało” ludzi z Çatalhöyük [2].

Jeśli ów „8.2-kyBP climate event” (wydarzenie klimatyczne odnotowane w zachowanych biocząsteczkach i zmianach składowych w tłuszczach zwierzęcych, zakonserwowanych w naczyniach ceramicznych z Çatalhöyük – red.) miał konsekwencje globalne, to mógł sprawić, że różne młodo-rolnicze społeczności (anatolijska, irańska żyznego półksiężycu) ruszyły w różne strony świata „za chlebem i lepszym życiem”. Podobnie np. pierwszy afrykański exodus 2 mln lat temu był wywołany nastaniem plejstocenu. Wtedy nastąpiła w Afryce wschodniej susza, wynikała ze związania olbrzymich mas wody w lodowcach w zupełnie innej części świata. Człowiek więc wyszedł z Afryki i tak się rozpędził w tym marszu, że bardzo szybko dotarł na tereny współczesnej Indonezji. Z Anatolii do Europy jest zaś tylko „żabi skok”.

Cóż, czyli ludzie rodzili się, jedli, spali, rozmnażali i umierali na grobach przodków... A właśnie – jedli. I gotowali! Czyli jeszcze w takim domu musiało się zmieścić palenisko z wylotem, aby usuwać dym.

Uważa się, że piece były umieszczane pod otworami dachowymi, przez które się do domu wchodziło. Skoro jednak niemal zawsze znamy te domy jedynie do wysokości metra, a dachów nie zachowało się zbyt dużo, to wiele trzeba się po prostu domyślić, poskładać z drobnutkich fragmentów, de facto wyobrazić to sobie i testować. Służą do tego rzeczywistości wirtualne, które są tworzone na rzecz tego stanowiska archeologicznego.

Prosto rzekłszy, nie znaleziono dotąd domu z zachowanym piecem i jednocześnie dachem, aby zobaczyć, gdzie istotnie ten otwór się znajdował. Ja brałem udział w inscenizacji rozpalania takiego zrekonstruowanego pieca w zrekonstruowanym domu. To tzw. archeologia eksperymentalna. Dość powiedzieć, że gdy zaczął się żarzyć materiał załadowany do pieca, a była to mieszanina nawozu z siewką słomy, to ilość dymu sprawiła, że można się tam było poruszać wyłącznie na czworakach albo udusić. Piece te nie miały żadnych przewodów kominowych, a przecież ludzie musieli jeść codziennie.

Ten dom nie jest jednoizbowy – jego przestrzeń jest podzielona i każda z izb posiada,

nazwijmy to, aneks magazynowo-spichrzowy. Bo lud rolniczy musi mieć spichlerz. Drugą niezbędną częścią jest „część kultowa”, to prawdopodobnie miejsce przebywania razem.

Dzięki różnym, dostępnym w internecie wykładom prof. Iana Hoddera można zobaczyć, że istotnie jako ozdoba czy miejsce kultu bywały tam „wmurowywane” takie monstrualne rogi byka.

Nie wszystkie domy miały to szczególne wyposażenie, ale faktycznie były to rogi byka z częścią czaszki, z której naturalnie wyrastały. Domy szczególnie bogate w tego typu artefakty James Mellaart nazwał świątyniami – mogło ich tam być nawet kilkanaście. Rogi – a de facto zachowane mózdzienie – często znajdowały się nie na ścianie, lecz na rogach platformy, pod którą chowano zmarłych. Czasem z gipsu odtwarzano całą głowę tego byka tam, gdzie umieszczono jego rogi.

Ja tu tylko przypomnę, że ten lud takiego byka musiał sobie upolować, bo bydlę nie było jeszcze udomowione. Mnie natomiast uderza w opisach Çatalhöyük, że nie udało się tam odnaleźć żadnych śladów obwarowań, jakichś struktur służących obronie. Brak jest także wspólnotowego spichlerza, odkrytego np. w Jerycho.

Dzisiaj tak, jak pani mówi, wyobrażamy sobie dawne osady, patrząc przez stereotyp tego, co się pojawia w epoce żelaza. Ale tak nie można do tego podejść. Bo proszę sobie wyobrazić, że podąża pani przez ówczesną Równinę Konijską, dociera do granic Çatalhöyük i przecież nie może pani tam wtargnąć, bo najpierw ktoś musiałby pani spuścić drabinę, albo musiałaby ją pani przynieść ze sobą z daleka. Tam nie było okien ani drzwi, zatem nie dało się prosto wejść. A rozbić ścian nie bardzo było czym.

Z wykładów Iana Hoddera można też odnieść wrażenie, że była to społeczność bardzo egalitarna, choć pan mówi, że np. w domostwach tych bawolich rogów bywało więcej lub mniej. Jednak dotąd nie odkryto niczego, co by można uznać np. za „pałac wodza” czy jakiegoś innego, choćby duchowego przywódcy, ani takich świadectw, że ktoś tam rządził, jak wspólny spichlerz, co znamy z późniejszych kultur, choćby Egiptu czy ze współczesnego dla Çatalhöyük Jerycha.

W Çatalhöyük jeszcze nie ma pisma i to jest dla historyków wielki problem (śmiech) – mniejszy dla archeologów. Jest faktem, że to miasto odkryto dotąd w niewielkiej tylko części, znamy dokładnie kilka procent całości. Czyli trudno powiedzieć, czego tam nie ma, a znacznie łatwiej – co tam jest. Na razie zatem zakładamy powszechny egalitaryzm. Co w mojej opinii jako antropologa nie wskazuje wcale, że tam nie było ludzi, którzy w ten czy inny sposób przewodzili społeczności. Liderzy są przecież nawet w watahach wilków, czy stadach szympanсів. To nie jest ludzki wynalazek.

To fakt, że trudno sobie nawet z dzisiejszej perspektywy wyobrazić 8 tys. ludzi mieszkających razem bez żadnego przywódcy. Choćby poziom konfliktu, który trzeba rozjemczo załatwić, bo inaczej ludzie sobie „pourywają głowy”.

Pewnie, że tak. To miasto musiało działać jak jeden organizm i było zasiedlane przez ponad tysiąc lat bez przerwy. A stosunki społeczne potrafią się dosłownie odciskać na kościach. Okazuje się, że w miarę upływu czasu funkcjonowania miasta mamy coraz więcej obrażeń po urazach, w tym czaszek u kobiet – jest ich więcej, niż śladów tych urazów na czaszkach mężczyzn. To może świadczyć o rosnącej agresji interpersonalnej, np. wynikłej z frustracji ludzi, którym się coraz ciężiej żyje.

Widzimy też zmiany w zakresie geometrii trzonów kości, np. udowych, które stanowią nasze ważne podparcie podczas ruchu, marszu (migracji). Okazuje się, że w tej społeczności najpewniej wzrastała mobilność. Wędrowki po obsydian stanowiły stałą marszrutę, natomiast być może musieli wędrować coraz dalej, na pola znajdujące się poza miastem, aby wyżywić społeczność.

Dlatego wyobrażam tam sobie jakąś doświadczoną starszyznę, która ma więcej do powiedzenia. Niekoniecznie oznacza to stratyfikację materialną – ta pojawia się znacznie później. Przede wszystkim w pochówkach nie widać żadnego rozwarstwienia na groby „lepszych” i „gorszych” obywateli, motłochu i patrycjatu, czy tym bardziej nie odkryto dotąd żadnego pochówku „królewskiego”. Zatem wyraźne gradienty społeczne mogły nie istnieć.

Brakuje też jakichkolwiek dowodów na stratyfikację ze względu na płeć. W badaniach chemicznych stabilnych izotopów N i C z tych kości nie widać podziału dóbr, takich jak żywność. Kobiety i mężczyźni jedli to samo i w tych samych proporcjach, a głównie i oczywiście chodzi tu o dostęp do mięsa.

A co wiemy o ich kulturze materialnej i duchowej, poza prawdopodobnym kultem przodków?

Ludzie ci pozostawili po sobie bardzo bogatą ikonografię. I spuściznę materialną. Na ścianach ich domów, które były często dekorowane, malowane farbą we wzory geometryczne, ale są też wyobrażenia. Np. ludzi rozbiegających się na jakimś terenie, nad którymi latają sępy – oni nie mają też głów(!), co może świadczyć o konkretnych wierzeniach natury eschatologicznej, ale ludzie ci są ubrani w cętkowane przepaski, które mogą nawiązywać do skóry lamparta. Także pochówki dostarczają nam informacji na temat ubioru i obyczaju mieszkańców, bo bywało, że te najmniejsze dzieci były chowane w koszach. Zachowały się skarbonizowane dna tych koszy i to jest elegancko wykonana plecionka. Fragmenty podobnych plecionek zachowały się też np. na kościach miednicznych w pochówkach dorosłych – niczym pasek pleciony z włókien roślinnych. Są i ozdoby, np. bransoletki, czy korale z małych koralików wykonanych z minerałów, z maleńkim otworkiem – znajdujemy je nawet w pochówkach dzieci, na stawach skokowych i nadgarstkach. Takie dziecko chyba musiało mieć zatem jakieś znaczenie dla społeczności, skoro je tak przyozdobiono, obdarowano.

Wydaje się, że całość ich życia kręciła się wokół jakichś wierzeń czy rytuałów. Tu też trwa dyskusja – związana nie tylko z Çatalhöyük, lecz i z innymi stanowiskami neolitycznymi – dotycząca znajdowanych tam figurek kobiet. Jedną z najbardziej znanych jest figurka kobiety o bardzo obfitych kształtach, która siedzi na czymś takim, jak tron, po obu stronach wspierając się rękoma prawdopodobnie na lampartach, a pomiędzy jej udami znajduje się kulka, którą można interpretować jako głowę rodzącego się dziecka. Ta ma dziwną cechę anatomiczną, którą jest steatopygia (bardzo uwypuklone okolice pośladkowe, spotykane np. u Hotentotek czy ludności Koy San, gdzie była to forma magazynowania na trudne czasy energii w postaci tkanki tłuszczowej). Inna, znaleziona przez polski zespół figurka wielkiej piękności liczy sobie 11 milimetrów! Jest maluteńka i bardzo precyzyjna. Jest też figurka, dziś

niestety bezgłowa, kobiety siedzącej na podgiętych nogach, która na plecach na wysokości jamy brzusznej ma otworek, a w nim tkwi skarbonizowane ziarenko zboża.

Kiedyś te figurki, znane co do swej podstawowej formy także z paleolitu, były interpretowane jako „bogini-matka” czy „bogini płodności”, ale dzisiaj ta interpretacja jest podważana. W przypadku Çatalhöyük to zostało sfalsyfikowane, bo wszelkie badania izotopowe kości tej społeczności pokazują, że kobiety nie były chyba w żaden sposób uprzywilejowane, także żywnościowo. Aczkolwiek związek z rolnictwem mają, bo te figurki znajduje się np. w jamach zasobowych, które są w domach. Nie da się wykluczyć, że były tam umieszczane w sposób celowy. Wachlarz interpretacji jest dość spory, można nawet przeczytać, że być może są to karykaturalne przedstawienia kobiet, akty lub nawet forma pornografii (sic!). Ówczesnie niespecjalnie uświadamiano sobie rolę mężczyzny w poczęciu dziecka – 9 miesięcy to długo. Np. Aborygeni australijscy uważali do niedawna, że kobieta jest po ślubie obdarzana potomstwem przez przodków, a nie męża. Zatem chodziła do gaju przodków i modliła się o dziecko. To jednak łowcy – zbieracze. U rolników z Çatalhöyük, którzy udomowiali zwierzęta i je bacznie obserwowali, świadomość, że mężczyzna jest w tym poczęciu niezbędny powinna była się pojawić błyskawicznie.

A gdzie dziś można obejrzeć te odkrywane przez lata i opisywane przez uczonych artefakty z Çatalhöyük?

W wielkiej liczbie i dobrze eksponowane są w Ankarze, w Muzeum Cywilizacji Anatolijskiej. Ponadto w ramach znacznie skromniejszej wystawy w Muzeum w Konyi, a oprócz tego w takim mini-muzeum na samym stanowisku archeologicznym. Przy czym znów trzeba to powiedzieć: nasze poznanie tego miejsca jest jeszcze bardzo niepełne, a nasze wyobrażenia, które budujemy na podstawie rekonstrukcji miejsca, gdzie jeszcze ciągle jest mnóstwo do odślonięcia, i badań tych wydobytych artefaktów, ulegają ciągłej zmianie. Tak naprawdę jeszcze nie poznaliśmy tych ludzi, mieszkańców wielkiego miasta Çatalhöyük sprzed 9 tys. lat.

Na koniec powiem jeszcze, że dla mnie osobiście jest to miejsce niezwykle, urzekające, wręcz magiczne. Choć jest tam bardzo dużo komarów, much, zdarzają się skorpiony, skolopendry i węże. Poza stanowiskiem można też spotkać dziczące psy tzw. rasy anatolijskiej – mogą być

bardzo niebezpieczne. Jednak zachęcam wszystkich do odwiedzenia „Wzgórza widelca”, oczywiście w przerwie w wylegiwaniu się na plażach tureckiej Riwieri. Tuż po pandemii, ma się rozumieć.

– rozmawiała *Magdalena Kawalec-Segond*

<https://tygodnik.tvp.pl/52481792/atalhyk>